

Głos regionalistów

dodatek
do Głosu Ziemi Bychawskiej
redaguje

**BYCHAWSKIE
TOWARZYSTWO
REGIONALNE**

**7 (18)
2004**

Ulice, domy, ludzie

**siódma część wspomnień Macieja Paneckiego
o Bychawie lat trzydziestych XX wieku.**

Ludzie, lata, losy

Maciej Panecki, Warszawa

CZUWAJ

Pan Iwanek opiekował się też szkolną drużyną zuchowo-harcerską chłopców, drużynę żeńską zaś prowadziła Pani Radlińska, energiczna i rozśpiewana nauczycielka. Drużynowym był abiturient szkoły, syn licznej i bardzo przyzwoitej rodziny Spozowskich – Witek, a przybocznym uczeń Szwego. Pierwszy z nich, przystojny, wysportowany, szesnastoletni młodzian, o niekwestionowanym autorytecie wśród rówieśników, drugi, jasnowłosy dryblas, był już absolwentem szkoły, ale nie zerwał z nią kontaktu, udzielał się nadal czynnie w pracy drużyny harcerskiej. Organizacja ta w latach trzydziestych przeżywała apogeum swojej popularności, wynikające z jej niewątpliwie paramilitarnego charakteru, a to wiązało się z silnie rozbudzonym wówczas patriotyzmem narodowym.

Nie należy zapominać, że tamten okres tkwił głęboko korzeniami w historycznym fakcie odrodzenia państwowości polskiej w 1918 r. i zwycięskich bojów o granice państwa prowadzonych z Niemcami i Ukraińca-

mi. A nade wszystko z bolszewicką Rosją.

Za zgodą, a nawet dyskretną zachętą Rodziców, zapisałem się już w drugim oddziale nauki do zastępu zuchów i do końca naszego pobytu w Bychawie uczestniczyłem we wszystkich akcjach drużyny, a było ich niemało. Oprócz defilaż w dniach świąt państwowych urządzano też w przeddzień tych świąt „capstrzyki” z pochodniami na ulicach miasteczka, a w miesiącach wiosenno-letnich rozmaite ćwiczenia w podbychawskim lesie noszącym nazwę Kobylego Dołu. Wszyscy byliśmy umundurowani, mieliśmy rogatywki harcerskie z lilijką i drewniane lance, t. j. kije o długości około 1,5 m i średnicy rzędu 4 – 5 cm, przy czym przekrój lancy miał kształt ściętego walca. Miały one stanowić jakiś substytut karabinu i przyzwyczajając młodzież do jego noszenia w przewidywanej służbie wojskowej, o której wielu z nas, a wśród nich i ja, z radością marzyło.

Wyróżniającą się jeszcze postacią w gronie nauczycielskim był Ukrainiec p. Bazyli Łojko, pełniący jednocześnie funkcję zastępcy kie-

rownika szkoły. Wysoki, dobrze, ponad 1,80 m, „plecysty”, łysy, o okrągłej, męskiej twarzy i nieco skośnych oczach, samym wyglądem, podobnie jak p. Karczmarek, wzbudził szacunek u największych „rozrabiaków” szkolnych. Jego specjalnością była, jak to się wtedy nazywało, przyroda żywa i nieożywiona, czyli według współczesnej nomenklatury, jakieś początki fizyki, chemii, zoologii i botaniki. Uchodził też p. Łojko za „wynalazcę” w opinii szkolnej, wprowadzając różne, na ogół drobne, usprawnienia, jak np. wyposażenia stosowanych wtedy litrowych butli z atramentem w zakrzywioną odpowiednio rurkę szklaną wciśniętą w korek, która znakomicie ułatwiała personelowi szkoły nalewanie atramentu do kałamarzy w ławkach szkolnych. P. Łojko był też zamilowanym popularyzatorem wiedzy przyrodniczej, wykorzystując do tego celu m. in. posiadany przez szkołę epidiaskop. Co pewien czas urządzał w świetlicy szkolnej popołudniowe seanse, wyświetlając na nich ciekawe obrazy przyrodnicze, geograficzne i podróźnicze. W bychawskiej szkole był jeszcze jeden Ukrainiec – p. Olesiejuk. także postawny, wysoki, ciemnowłosy i przystojny młody człowiek, uczący śpiewu, gimnastyki i rachunków w niższych klasach szkoły. Z faktów tych i z robionych obserwacji mogę z całą pewnością twierdzić, że w Polsce Niepodległej okresu międzywojennego nie było żadnej ksenofobii, niechęci, czy dyskryminacji mniejszości narodowych. Przykład aż trojga nauczycieli Ukraińców (trzecią była panna Fedorowiczówna) w bychawskiej szkole jest chyba dość wymowny. Po przeniesieniu się w 1935 r. do Puchaczowa spotkałem tam także w szkole powszechnej Ukraińca p. Zielyka, nauczyciela rachunków, a w gimnazjum im. S. Batorego w Lublinie Niemca, nauczyciela rysunków. p. Westfala, który nawet niezbyt dobrze mówił po polsku, ale pięknie rysował i malował, i to się głównie liczyło. W państwowym gimnazjum im. hetmana Jana Zamojskiego w Lublinie, do którego przeniesiony zostałem w 1937 roku, była z kolei para nauczycieli języka niemieckiego, Żydów, p. Dorfest, zwany przez uczniów „koteczkim”, i panna Kümmelówna. Przez długi czas zresztą kuratorem szkolnym na województwo lubelskie był Ukrainiec o nazwisku Lewicki. Gwoli prawdy trzeba powiedzieć, że znacząca część mniejszości żydowskiej miała, niestety, najdelikatniej mówiąc, niechętny stosunek do państwowości polskiej, który szczególnie ostro ujawnił się we wrześniu 1939 roku po wkroczeniu Sowieców na Kresy Wschodnie i wschodnią część Województwa Lubelskiego. Żydzi okazali się wtedy czołowymi organizatorami tzw. „Rewkomów”, czyli komitetów rewolucyjnych komunistycznej milicji. Oczywiście nie odnosi się to do wszystkich Żydów. Większość z nich była na ogół bierna, a stateczni, poważni Żydzi z troską i obawą patrzyli na upadek stabilnego gospodarstwa i społeczeństwa państwa polskiego, i na groźne perspektywy pod władzą dwu strasznych reżimów totalitarnych. Aktywni politycznie byli głównie młodzi Żydzi, poddani populistycznej, demagogicznej, oszukańczej indoktrynacji przemycanej do Polski z Sowieców propagandą komunistyczną, i z pewnością świadomi faktu, że twórcami tego barbarzyńskiego w swojej istocie „proletariackiego państwa” byli ich rodacy z Trockim, Radkiem, Swierdłowem i wieloma innymi rewolucjonistami na czele i że w czołówce stalinowskiego reżimu także nie brakowało Żydów.

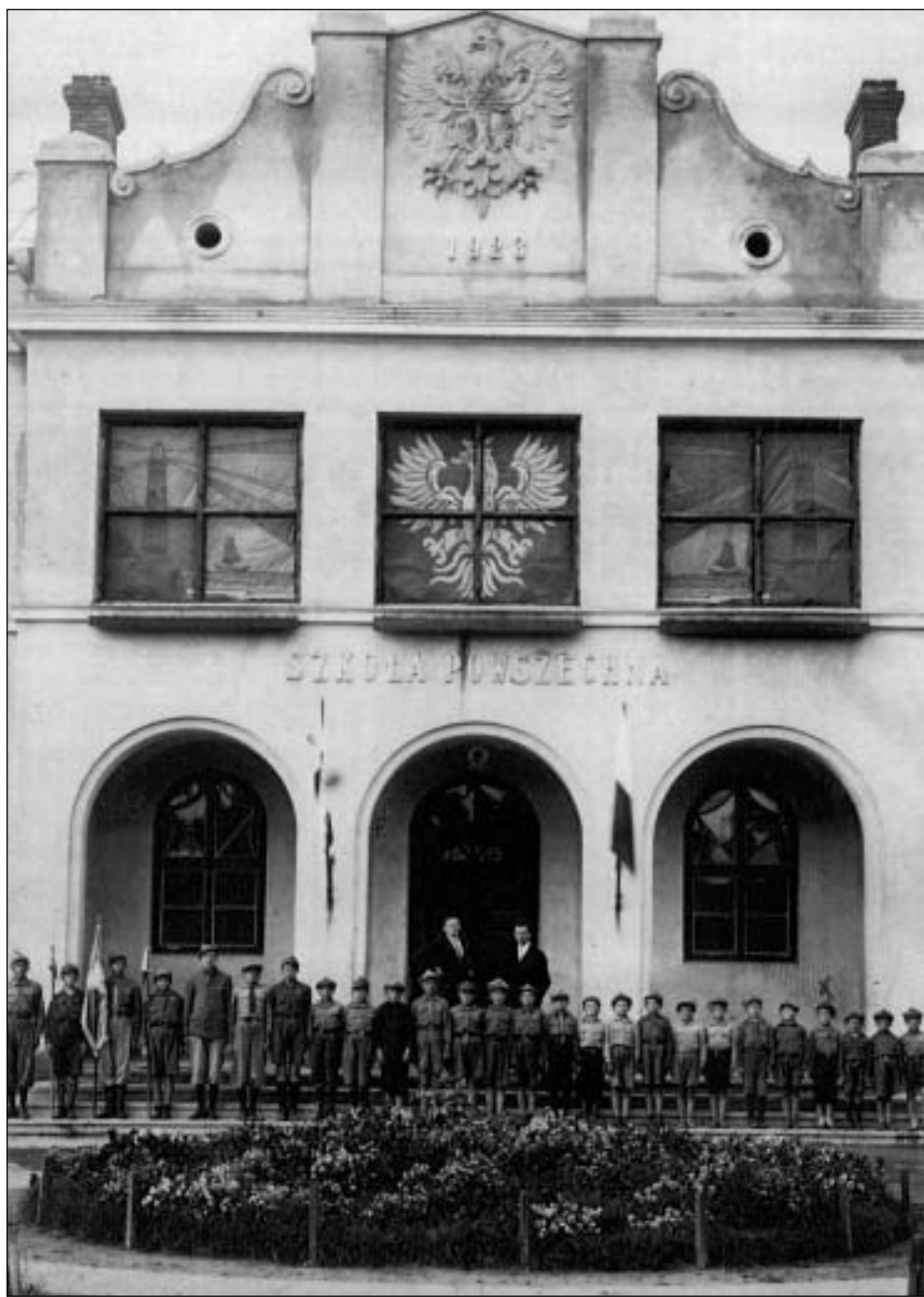


Od lewej strony rząd górny; Wandzia Krokowska, Rzaśnicki - kierownik szkoły, Marian Kotliński (nauczyciel, zginął w Katyniu); od lewej rząd drugi Irena Siuda, Ryciakówna, nauczycielka, NN, Zygmunt Todys, nauczyciel; rząd trzeci od lewej; Ola (nazw.?), Jadzia Świeboda, stoi Jasia Dutkiewiczówna.

zdj. (własność) i komentarz p. Wandy Sprawki.

MIR DLA MUNDURU

Wojsko Polskie było wtedy autentycznym pupilkim społeczeństwa, jego dumą i gwarantem bezpiecznego bytu państwowego. Służba w wojsku polskim stanowiła wyróżniającą młodego człowieka przywilej, a osobnik nienadający się, np. z przyczyn zdrowotnych, do takiej służby, traktowany był przez otoczenie jako niepełnosprawny nieudacznik. Odbywający służbę wojskową młodzi bychawiacy, a także młodzi ludzie z okolicznych wsi, przejeżdżając na urlopy w czasie Świąt Bożego Narodzenia, czy Wielkanocy, byli przedmiotem podziwu i zazdrości. Schludnie umundurowani, dobrze ułożeni, zdyscyplinowani, salutujący dziarsko wszystkim znajomym i starszym mieszkańcom miasteczka, wywoływali miłe odczucia i najzyczliwsze reakcje. Szczególną atrakcją byli dla 6 – 8-letnich malców, którym postawny wojak, np. kawalerzysta, lub artylerzysta w długim do kostek płaszczu, z szabłą przy boku, i w brzęczących ostrogach, jawił się jak bohater z zasłyszanych, lub przeczytanych już opowieści o bojach z wrogami ojczyzny. Każdy z tych malców wiedział, że rogatywki nosiła piechota, artyleria i kawaleria, a okrągłe czapki szwoleżerowie i żołnierze KOP (Korpusu Ochrony Pogranicza). Nie było też dla nich tajemnicą, że biały otok na rogatywce kawalerzysty oznaczał żołnierza 24. pułku ułanów z Kraśnika, a zielony – 2 pac (pułku artylerii ciężkiej) z Chełma Lubelskiego, 8. pułk piechoty Legionistów z Lublina miał otoczki czarne, a żandarmeria wojskowa żółto-pomarańczowe, z czego też wzięła się ich nazwa „kanarki”. Podziw, jaki okazywano wtedy naszemu wojsku, zilustrować mogą dwa następujące, autentyczne wydarzenia. Stacjonujący w Lublinie 8. pułk odbywał zimą 1931 roku ćwiczenia w terenie i przechodził w targowy wtorek przez miasteczko, w którym zatrzymał się na obiad polowy. Pamiętam doskonale menu: apetyczna kasza jagłana okraszona obficie skwarkami. Wszyscy mieszkańcy miasteczka i przybyli na targ chłopcy bratali się z żołnierzami, podsuwali im, co kto mógł, z jedzenia, słodczy, zapraszali do mieszkań dla ogrzania się, a gdy oddziały ruszyły w dalszą drogę w kierunku Turobina, odprowadzane były przez chmarę dzieciaków i bychawskich podrostków, aż do wsi Zarszów, odległej o około 4 km od Bychawy. Historia powtórzyła się rok później z tą różnicą, że bohaterem byli tym razem ułani ze wspomnianego 24. pułku kawalerii w Kraśniku. Pułk ten kwaterował wtedy, a była to też zima, w Bychawie i okolicznych wsiach – Zadębciu



Drużyna harcerska przy 7-klasowej Szkole Powszechnej w Bychawie w 1934 r. Sztandar trzyma Spozowski. Z proporczykiem Buczek (Mietek?). Obok Szwego (najwyższy), Dudkiewicz, Rusinek, Hanaj (syn fotografa), NN, Frączek (syn Antoniego) w cywilnym, ciemnym stroju, Kostrzewski, Grudzień (?), NN, NN, Pytlak, Wojtek Luterek (syn Jana), NN, Tadek Berezcki, Albin Kostrzewski (wiceminister w czasach PRL), Stefan Furmaga (syn felczera weterynarii Franciszka i jego żony Stefani, nauczycielki szkoły bychawskiej), NN, Rysiek Buczek (?), Maciek Panecki, Mietek Kuna, NN, NN.

komentarz Macieja Paneckiego, Warszawa 2003 r.

Ludzie, lata, losy

i Grodzanach – przez dwa dni i przyjmowany był równie entuzjastycznie jak poprzednio lubelscy piechurzy. Na cześć ułanów z Kraśnika utalentowany nauczyciel śpiewu p. Todys ułożył nawet zgrabną piosenkę, której w ciągu jednego dnia nauczyła się cała szkoła bychawska. Trzeba zresztą przyznać, że wojsko to zasługiwało na opiewanie go w poezji i pieśniach. Doskonale wyekwipowane, w solidne, zgrabne mundury koloru „khaki”, uszyte z doskonałej jakościowo tkaniny wełnianej, w butach z cholewami i, w okresie zimy, w półkożuszkach z długimi rękawami, na dorodnych, i doskonale utrzymanych koniach, prezentowało się jak z bajki. Każdy szwadron pułku miał konie innej maści – siwej, karej, gniadej. Gdy opuszczali w szyku Bychawę, to parskaniu i popierdywaniu koni towarzyszyły oklaski.

RÓWIEŚNICY Z SĄSIĘDZTWA

Młodzież szkoły bychawskiej była oczywiście odbiciem struktury społecznej i narodowościowej miasteczka i gminy. W moim oddziale np. była, oprócz mnie, jak już zresztą wspominałem, tylko trójka dzieci z rodzin inteligentnych. Reszta pochodziła z rodzin chłopskich, rzemieślniczych i kupieckich. Z żadnym z chłopców z klasy nie zawiązałem bliższej znajomości, czy przyjaźni, natomiast bliższe stosunki koleżeńskie utrzymywałem

z dwoma chłopcami z sąsiedztwa, z Witkiem Woźniakiem i Tadekiem Golewskim. Witek był synem mającego, jak na stosunki bychawskie, właściciela okazałego, nowego domu w rynku i mieszczącej się w nim restauracji. Nieruchomości tej dorobił się p. Woźniak niewątpliwie na prowadzonej przedtem przez szereg lat piekarni wytwarzającej naprawdę wspaniałe, bogate asortymentowo pieczywo. Ożeniony był ze starszą od siebie wdową, która miała już dwoje dzieci z poprzedniego małżeństwa – córkę, bardzo ładną blondynkę, zgrabną, wysoką i również przystojnego, sympatycznego syna, oboje w wieku około 20 lat. Młodzi przebywali normalnie gdzieś poza Bychawą, a zjawiali się tylko w okresie świąt i wakacji, prawdopodobnie uczyli się, lub może już pracowali. Bywałem niejednokrotnie u Witka w domu i zapamiętałem jeden ciekawy epizod natury socjologicznej. Otóż pewnego razu zauważyłem w jednym z pokoiów Woźniaków znanego mi z widzenia młodego, ale nie ortodoksyjnego Żyda, który stał z boku okna wchodzącego na rynek i zjadał trzymany w ręku okazały kawał kielbasy. Zdziwiony zapytałem Witka, czemu on się tak dziwnie zachowuje? Witek wyjaśnił mi, że religia zabrania Żydom jeść wieprzowinę, a ten młody Izraelita strasznie lubi kielbasę i, kryjąc się w mieszkaniu Woźniaków może zaspokoić swoje upodobanie kulinarne. Drugi kolega,



Chór szkolny z nauczycielem Zygmuntem Todyssem (w białej koszuli). Pierwsza z lewej Wacja Luterkówna, obok profilem, Jadzia Świeboda, po lewej stronie obok Todysa Miecio Jezierski. Z lewej najwyżej Stach Luterek, a niżej z lewej Marian Kwiatkowski; wśród siedzących na dole trzecia z warkoczem Marysia Hanajówna, córka fotografa. Pośrodku (kofnierzyk w ząbki) Irenka Studa, roześmiana z warkoczami Wójcikówna z Woli Bychawskiej, na lewo od niej Kasja Gąbka, wyżej Zygmunt Zminda.

zdj. (własność) i komentarz p. Wandy Sprawki.

Tadek Golewski, nieco starszy ode mnie był synem innego sąsiada gminy, który był tzw. zgonnikiem, o tym sposobie zarobkowania pisałem już wcześniej. Z natury rzeczy Tadek, jako starszy, stał się przywódcą naszej trójki i namawiał nas czasem do różnych brzydkich rzeczy. Np. Witka namawiał żeby „podciągał” bardzo smaczną oranżadę z restauracji ojca, która następnie solidarnie piliśmy skrycie w niezbyt ciekawym i wonnym miejscu, bo na zapleczu gminnego wychodka, mnie natomiast, abym podkradał Mamusi bilon z podręcznej kasetki i za te pieniądze raczyliśmy się w tzw. „sodówce”, tj. budce na rynku prowadzoną przez Żydówkę Chaję, oferującą lody, wodę sodową z różnymi sokami i ciastka. Czasem rachunki za te „uczty” przekraczały moje możliwości płatnicze, ale uprzejma Chaja udzielała chętnie kredytu, zapisując skrzętnie każdy grosz powstającego w ten sposób zadłużenia. Tadek miał dwóch dorosłych braci – Witka i Mietka – i przypuszczam, że podpatrywanie ich zachowań przenośli do stosunków w naszej trójce. Próbował też np. nauczyć nas palić papierosy, co robiliśmy w stodole gminnej na składowanym tam sianie dla naszej krowy. Że nie wywołałoby przez to pożaru, to był rzeczywiście jakiś cud.

Przez pierwsze cztery lata nauki należałem do ścisłej czołówki klasowej, doskonale czytałem, bezbłędnie pisałem, bo w wieku chyba zaledwie czterech, czy może pięciu lat już umiałem czytać, nauczony przez siostrę i Rodziców. Wertowałem też znajdujące się w domu ciekawe pisma dla dzieci, takie jak „Płomyczek”, „Płomyk”, a nawet ilustrowane pisma dla dorosłych, jakie kupowane były przez Rodziców, w szczególności IKC („Ilustrowa-

ny Kurier Codzienny”), świetne pismo codzienne, lubelski dziennik noszący tytuł „Expres Lubelski i Wołyński”, warszawski doskonały tygodnik satyryczny „Mucha”, „Gazeta Świąteczna” i inne ciekawe, pouczające pisma. W piątym jednak oddziale, do którego chodziłem w roku szkolnym 1934/1935, program szkolny był już bardziej złożony. Doszły trudniejsze rachunki, elementy geometrii, przyroda żywa, które nie należały do sfer moich szczególnych zainteresowań i wyraźnie opuściłem się w nauce. Pamiętam, że nauczycielka rachunków, pani Filipowa kazała nam kleić na lekcji kasztanowym klejem wycinane z papieru sześciiany i prostopadłościany. Nie wychodziło mi to jednak absolutnie. Palce mazały mi się klejem, papier ulegał zabrudzeniu, sklejonny w jednym miejscu, „rozlaźlił się” w innym. Jednym słowem porażka i dwójka, pierwsza w życiu, z przedmiotu. W jakiś sposób moje szkolne niepowodzenia zaczęły docierać do Mamusi, ale kończyło się tylko na perswazjach. Kiedy sprawa doszła jednak w końcu do Tatusia, ten najpierw udzielił mi słownego monitu, a potem, dla utrwalenia w mojej pamięci jego treści, poddany zostałem stosowanej wtedy powszechnie egzekucji cielesnej. Musiałem po spuszczeniu spodnek nachylić się nad łóżkiem, wypiąć tylne półkule i przyjąć kilka, a może i więcej, uderzeń. Musiały być bolesne, bo siedząca obok mnie Mamusia rozplakała się i prosiła rodzicielskiego „egzekutora” – Józka, już wystarczy, zrobisz mu jeszcze krzywdę. Ja sam razy te przyjąłem jako niewątpliwie należną i oczywistą karę za popełnione wybryki.

W nast. cz-ci wspomnienia domu i rodziny.



Od strony lewej u góry: Marian Kotliński, nauczyciel, Sabina Kotlińska, nauczycielka, trzeci stoi Seweryn Filip, nauczyciel, następny mężczyzna Zygmunt Todys, nauczyciel, a niżej, niewysokiego wzrostu, Lipcówna, nauczycielka, na prawo mężczyzna - Iwanek, nauczyciel, z prawej strony od góry Bazyl Jójko, nauczyciel, niżej w kapelusiku Stanisława Radlińska, nauczycielka, za uczniem harcerzem (NN) na lewo stoi rabin uczący dzieci żydowskie religii, po lewej stronie Sobolówna, nauczycielka żydowskiego pochodzenia; pośrodku wśród siedzących ks. Stefan Kędra, po prawej stronie Maria Walczakówna, nauczycielka, a po lewej w okularach Wiktoria Furmagowa, nauczycielka, za nią kierownik Rzański, po lewej stronie Anna Filipowa, nauczycielka.

Rok powstania fotografii 1935, na co wskazują czarne żałobne opaski na rękawach, w związku ze śmiercią Józefa Piłsudskiego. zdj. (własność) i komentarz p. Wandy Sprawki.

Na starym cmentarzu w Bychawie 2003



że pod kwiatami nie ma dna
to wiemy wiemy
gdy spłynie zórz ogniowa kra
wszyscy usniemy



będzie się toczył wielki grom
z niebiańskich lewad¹
na młodość pół na cichy dom
w mosiężnych gniewach
świat nieistnienia skryje nas
wodnistą chustą
zamknie czas potłucze czas
owale luster



¹ lewady – łąki, kwitnące przestrzenie

fragment wiersza Józefa Czechowicza
„Modlitwa żałobna”



foto
Jadwiga Luterek-Cholewska

